Nro 32. R. 1837. ŚRODA 19 LIPCA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

O USTNYCH I TRADYCYJNYCH POETACH w POLSCE.

PRZEZ S. W.

Polska miała pewien wyłączny rodzaj poetów ustnych, tradycyjnych, który nigdzie indziéj nie był i nigdzie téż tak nie kwitnął. — Życie dawnéj szlachty kiedy wywrzało na placach bitew, wyszumiało w hałasach séjmikowych i trybunalskich, nie znajdowało już dla siebie żadnego pola publicznego. Wiadomo że szlachta, nie lubiła okropnie pracy cichéj i mozolnéj kunsztów, rzemiosł i handlu. Odstąpiwszy w tym względzie cudzoziemcom wszelkich zysków i chluby, niecierpliwa i porywcza potrzebowała koniecznie ciągłego ruchu i gwaru. Gospodarstwo rolne nie było dla niéj nauką, umiejętnością, ale raczéj zabawą i prostém lubownictwem przyrodzenia. Widok łanów, puszcz, stawów, zajmował ją spokojniéj wprawdzie lecz nie mniéj żywo i łatwo jak w innéj chwili zgiełk bitwy, jak spory i kłótnie obradowe. Szlachcic wróciwszy z wojny lub séjmiku, nié miał w domu co robić, więc objéżdżał krewnych, powinowatych, przyjaciół, albo zpraszał gości do siebie, ucztował, bawił się i gadał. Przy takiém życiu talent opowiadania musiał oczywiście grać wielką rolę i niezmiernie popłacać; powszechnémi wyścigi musiał się rozwijać i kształcić. Goła prawda, zwyczajna rzeczywistość nié mogły dość silnie chwytać uwagi ucztujących słuchaczów; biegła w pomoc wyobraźnia; rosły dziwne powieści: a ich twórcy i układacze tak robili mimo wiedzy najprawdziwszą poezyję, jak owa znana osoba *Moliera* mimo swéj wiedzy gadała prozą. Nie byli to młodzi, sentymentalni minstrele, nucący tkliwe a najczęściéj cudze piosnki przy dźwię-

ku lutni czy gitary o jakimś oddalonym rycérzu lub tajemniczéj księżniczce, i obchodzący dla zarobku zamki baronów; ale byli to rubaszni, wąsaci, i podeszli w lata szlachcice, błyszczący tokajem i serdeczną wesołością, opowiadający głośno i poważnie własne zmyślenia, ucinki, i historye o rzeczach domowych, o wypadkach miéjscowych, o osobach znajomych i obecnych, zagłuszane wrzawą szlachty braci pijącéj i zanoszącéj się od śmiéchu, przy zgiełku i uwijaniu się mnóstwa służby i dworskich, odgłosie nieskończonych tytułów i wielmożeństw, malowniczych postawach i zamaszystych ruchach biesiadników poprawiających wyloty i lite pasy, iskrzących spinkami, wygoloną czupryną, i bogatą materyą różnokolorowych kontuszów i żupanów, podczas gdy tuż za oknami i pod ich okiem dziarska i krzepka młodzież na obszérnym dziedzińcu ujeżdżała dzianety, toczyła do pierścienia, i tratowała wyrobione z papiéru albo drewna łby Turków i Tatarów. Dla tych szczęśliwych ludzi, śród tłumu kompanii, hałasu i wrażeń uciech nieustannych; i dla których cały pobyt na ziemi był, można powiedziéć, jedną tylko ucztą huczną i na pół pijaną: dla tych, mówię, ludzi dawnych, najkrótsze dumanie przemieniało się się w nudy; świat książkowy, pismienny, był martwy, ciasny, i ckliwy. W rzeczy saméj, nie lepiéjże bydź i czuć się szczęśliwym jak o szczęściu myśléć i rozprawiać? Nie jestże miléj żyć poezyą jak powietrzem, niżeli układać wiérsze? Zpytajmy się ludzi o których pewien niemiecki autor powiada iż mają zawsze wolne wéjście do nieba, zpytajmy się poetów; kiedyto zachwycenie daléj ich tam i głębiéj zanosi; kiedy są najbardziéj poetami: czy gdy n. p. w towarzystwie natury i zapominając wszelkich względów ludzkich, kopią się jak kwiaty w rosach poranku; nucą w duszy pieśń niewydaną, jak szelest liści ginący pod skrzydłem wiatru; i żyją życiem orła co z więzów wyrwany powraca górą, samotny, w gniazdo swe odległe: czy téż gdy zchyleni nad kawałkiem papiéru łapią rymy, i przemazują coraz inne wyrazy, które jak sługi

nieczułe i bezduszne nigdy im dogodzić nié mogą? Życie poetyckie naszych przodków było nadto bujne i obfite aby się miało wyłożyć na papiér. To téż o ich duchu poetyckim nie można brać miary z tego co napisali. Tylko improwizacya była im właściwa; a ta znajdowała pole w opowiadaniach owych poetów ustnych, domowych, nieznanych samym sobie o których wyżéj się wspomniało: gdzie téż zamknęła się i została cała poezya przeszłych naszych wieków. Przechodziła ona z pokoleniami razem z ich życiem rzeczywistém którego była nierozłączną towarzyszką. Imiona szczęśliwszych opowiadaczy, znane i lubione w kołach rodzinnych i przyjacielskich, jeszcze czas pewny po ich zgonie przechowywały się na miéjscu: zachodząc dopiéro i nikną ze śmiercią ich niegdyś słuchaczów i spółbraci; powieści ich i tworzenia ledwo kiedy niekiedy odbijały się dalszą tradycyą w cienkich, słabych, i coraz gasnących odbłyskach. Coż tym ludziom znaczyło że o nich potomność nié miała wiedzieć, że przemijali jako blask dnia jednego, że o ich gościnie na téj ziemi ani się domyślać miały poźniéjsze jakieś zasępione pismaki?. *sobie śpiéwali nie komu.* A w tém samém tak szczérém niedbaniu o najjaskrawsze cacko ziemskie które przezwano nam *sławą*, w tém zupełném wylaniu się i zamknięciu w chwilę obecną, ileż było siły i świéżości ducha, ile poezyi! Tak bez żadnéj rachuby ptak buja po powietrzu; tak kwiat wydaje woń lotną, i upadnie nie zostawując jéj po sobie. — Na samym już schyłku upłynionego wieku żył jeden z takich opowiadaczy - poetów którego cała Polska spółczesna doskonale znała, którego imie i pamięć doszły jeszcze w niepospolitym blasku do piérwszych lat tego wieku. Dziś rzadko i coraz już niedokładniéj można o nim usłyszéć; wielka jego niegdyś sława zaciéra się codziéń i przechodzi wraz z odgłosem tylu innych rzeczy minionych: ale, nie mówiąc już o naszych ojcach, którzy z nas co teraz liczymy mniéj więcéj lat wieku cztérdzieści lub trzydzieści nie dowiedział się w swéj piérwszéj młodości o owym Wileńskim wojewodzie *Radziwile*, zwanym *Panie Kochanku* od

przysłowia którego ciągle używał? Nie znalazłbyś jednego domu, jednéj zagrody szlacheckiéj gdzieby powieści tego szczególnego człowieka nie były znane, lubione, powtarzane. Niewiém czy którykolwiek z największych pisarzy używał w swoim narodzie za życia tak ogromnéj i powszechnéj jak ón sławy autorskiéj, lubo autorstwo Radziwiła nie było rozgłaszane sztuką drukarską i utrzymywało się jedynie przez opowiadanie. Ksiądz Jezuita którego nazwiska już sobie dobrze teraz nie przypominam lecz które w dzieciństwie tysiąc razy słyszałem, szlachcic *Leon Borowski*, obadwa domownicy wojewody, których on zwykle wprowadzał do wszelkich swych powieści i kompozycyj, byli wówczas nierównie więcéj i lepiéj w Polszce znajomi jak w innych krajach główne osoby najsławniéjszego jakiego poematu. Ten bajarz potentat, dwunasty w rodzie swym wojewoda, utrzymujący dziesięć tysięcy własnego wojska, który na jedno przyjęcie króla w *Nieświéżu* więcéj wydał jak może warta fortuna największego dziś magnata we Francyi lub Niemczech; ten ogromny barczysty szlachcic, opowiadający z najdoskonalszą powagą niestworzone rzeczy o swych podróżach: n. p. o swojém małżeństwie zawartém potajemnie z Syreną na jakiémś odległém, nieznaném morzu; albo o wielkiéj burzy, co byłaby okręt jego przewaliła gdyby o *Panie Kochanku* skoczywszy prędko w ocean nie płynął przez całą dobę pod zagrożoną nawą i podpiérając ją własnémi barki, nie utrzymał onéj w równowadze; ten mówię, gadający i w kontuszu *Ariost*, może nam dać wyobrażenie czém kiedyś w Polszce byli owi opowiadacze, owi ustni, tradycyjni poeci.

SPISEK ZA CZASÓW LUDWIKA XV.

W roku 1758 ubogi wyrobnik przyszedł do miészkania ministra Policyi, i oświadczył iż ma ważną okoliczność do wyjaśnienia, z początku wzbraniano się wpuścić go, lecz gdy oświadczył iż życie króla od tego zależy zaprowadzono go do ministra gdzie zeznał, iż przeciérając posadz-

kę w pewnym domu, usłyszał wpobocznym pokuju rozmawiające dwie osoby z dworu J. K. Mości. Często powtarzane imie Króla zwróciło jego uwagę, a za zbliżeniem się do cienkiéj ściany wysłuchał co następuje: Tego samego wieczora miała bydź obchodzona zwyczajna ceremonia składania hołdu Królowi, a między ofiarowanémi bukietami jeden miał bydź tak subtelną trucizną napuszczony iż za powąchaniem go śmierć niezawodnie nastąpi. — Policya od niejakiego czasu będąc kilkoma fałszywémi doniesieniami zwiedziona nie łatwo czemu wierzyła, lecz obecny donosiciel tyle miał uczciwości w swoim wyrażeniu, iż ta wzbudzała zupełne zaufanie. — Urzędnik Policyjny udał się więc natychmiast z donosicielem do Wersallu, gdzie po długiéj z królem rozmowie został tenże pod straż gwardyi oddany. Po ósméj godzinie w wieczór z uśmiechem w twarzy Ludwik XV., zajął miéjsce w sali gdzie miał hołd dworu odbiérać. Powiérzchowność Krola nie objawiała najmniéjszéj niespokojności, i głaskał ręką ulubionego pieska który u nóg jego leżał. — Obrządek się rozpoczął, Król bukiety jeden po drógim odbiérając pod pozorem bawienia się z psem każden mu do nosa przysuwał i dopiéro po tém na stoliku składał. — Przyszła wreście koléj na taki bukiet, którego pies powąchawszy, tak osłabł, iż natychmiast się wywrócił i w parę sekund życie zakończył, co gdy Król spostrzegł, nieznacznie rzuconą chustką tegóż obsłonił. — Po skończonéj ceremonii kazał król urzędnika Policyi przywołać, i rzekł: Dobrześ Wać Pan był uwiadomiony; w zeszłym roku sztylet Damiensa, dziś bukiet, a wszystko z jednego i tegóż samego źródła. Lecz nié mogę i niechcę karać. Zakazuję czynić cokolwiek bądź dla wyjaśnienia tego. Człowieka atoli który mnie uratował chcę widzieć. Jest on tutaj lecz w ubogiéj wyrobnika odzierzy. Tém lepiéj; ubiór ten jest jego zaszczytną suknią. Niech wnijdzie. — Urzędnik wypełnił rozkaz, a na widok wybawiciela swego, w oku Króla łza wdzięczności błysnęła, zbliżył się do niego Ludwik XV. i z dobrocią wyrzekł: uściskaj twego króla godny człowieku, niech to

będzie piérwszą twoją nagrodą. — Najjaśniéjszy Panie zawołał tenże, chcąc przed królem uklęknąć jestżem téj łaski godzien? Król uściskał go i w czoło pocałował. — Powiédz czym ci dopomódz mogę? rzekł król, ochłonąwszy z piérwszego wzruszenia. Niczém Najjaśniéjszy Panie; ja jestem szczęśliwy. — Powiédz jednak co pragniesz posiadać ja na wszystko przystanę. — Kiedy tak Najjaśniéjszy Panie, mam koniecznie powiedziéć, otoż chciał bym miéć maléńki domek w Parku. — Czy to już wszystko? — Wszystko; i jeżeli W. K. Mość pozwolisz mi się czasem widzieć będę na zawsze szczęśliwy. Za cztérnaście dni będziesz miał dom w Tryianon, a codzień rano przyniesiesz mi bukiet; — ten mi będzie zawsze twą przysługę przypominał. Panie komisarzu, tego człowieka zostawiam u siebie, wskażę mu tymczasowe miészkanie, i przeznaczam mu 100 luidorów miesięcznie z własnéj szkatuły. Wać Panu zaś ponawiam rozkaz, zachowania tajemnicy. — Król dotrzymał obietnicy, dom wystawiony był w cztérnastu dniach w Parku, a miészkaniec jego który tylko kilkoma miesiącami króla przeżył w roku 1770 jeszcze go zajmował.

ŻAL MATKI.

Noc była czarna, chłodna,
Ty w ziemi drogié dziécię,
Nieodziana, głodna!
Dobrydzień, lube dziécię!
Słów matki nie czujesz,
Ręki nie ucałujesz,
Weź sobie już mi życie!

Inszym ich dziéwczęta
Usłużą, pomogą w domu;
Jest odezwać się komu,
Jest kogo ubrać w święta;
Matki ich zaczesują,
I ludziom pokazują:
Ty ćwiekami przybita,
Zimném płótnem nakryta!
Już ja zawsze bez ciebie,
Już po twoim pogrzebie!

Niech się na mnie sąsiad zmówi,
Niech mię łaje sąsiada,
Niech mię zły człowiek omówi,
Niech się chata zapada:
Nic nie powiém — robić nie będę;
Płacząc, za stołem siędę,
Głowę na rękach położę,
Ja biédna! O! Boże, Boże!